Strzelanie do tarczy.

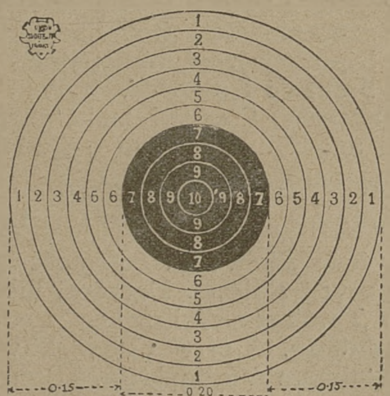
Polskie koła myśliwskie nie miały praktycznych możliwości bliższego zapoznania się z tą gałęzią sportu strzeleckiego, która nosi nazwę strzelania do tarczy (tir à la cible) względnie — strzelania wojskowego.

Różni się ono od strzelania myśliwskiego tym, że tylko w stosowanym strzelaniu obejmuje cele ruchome (sylwetki) a jest przedewszystkiem strzelaniem do tarczy na odległości większe, począwszy od 100 metrów aż do 800 metrów.

Międzynarodowe zawody strzeleckie, których organizacją od r. 1897 zajmuje się Międzynarodowy Związek Strzelecki, posiadają urozmaicony program, w których poza celnością, dużą wprawą — trzeba rozporządzać niebylejaką wytrzymałością fizyczną, strzelając bez przerwy np. 3 serje po 40 strzałów.

W tym roku strzelanie olimpijskie we Francji przewiduje: zawody jednostkowe z dowolnej długiej broni na odległość 600 metrów i zawody zespołami (par equipe) na odległość 400, 600 i 800 mtr. Tarcze posiadają wtedy wcale pokaźne wymiary, bo 2 metry średnicy.

W spotkaniach międzynarodowych, kiedy jednostki reprezentują narody, a powodzenie osobiste schodzi na plan dalszy — decyduje o zwycięstwie cały szereg czynników, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje kultura strzelectwa i racjonalnie stosowany trenig. Walka o wawrzyny zwycięskie staje się walką o pojedyńcze punkty. Dość porównać wyniki zawodów z roku 1897 w Lyonie, kiedy mistrzem świata został szwajcar p. Julien, osiągając 942 punkty (na 1200) z wynikami mistrza świata w r. 1922



Tarcza p. Julien, rok 1897.

amerykanina W. Stokesa, który na międzynarodowych zawodach w Medjolanie, osiąga 1067 punktów.

W roku 1924, na Igrzyskach Olimpijskich, o pierwsze miejsce będą walczyć zacięcie Szwajcarzy i Amerykanie: i jedni i drudzy od 2-ch lat prowadzą wytężony trening.

O Szwajcarji wiemy ponadto, że zorganizowano tam specjalny Komitet społeczny celem dopomożenia strzelcom w ich walce w stadjonie olimpijskim.

Polscy strzelcy, członkowie Związku Strzeleckiego, brali udział po raz pierwszy w międzynarodowych zawodach w Lyonie roku 1921, z okazji rekonstrukcji po wojnie światowej Międzynarodowego Związku Strzeleckiego — nie zdobyli wówczas żadnych godnych zaznaczenia miejsc, gdyż nie posiadali precyzyjnej broni i nie znali wogóle warunków strzelania na zawodach międzynarodowych. Sądząc z protokułów kongresu strzeleckiego, delegacja polska prezentowała się b. dodatnio i cały szereg uchwał kongresu, podkreślających ideowy charakter Międzynarodowego Zw. Strzeleckiego, zawdzięczać należy polskiej inicjatywie.



p. Daniel Mérillon prezes Międzynarodowego Zw. Strzeleckiego, Wielki Oficer Legji Honorowej.

P. Daniel Mérillon, prezes Międzynarodowego Zw. Strzeleckiego, w serdecznych słowach zachęcał polskich strzelców do dalszej usilnej pracy, życząc im, aby w nadchodzących spotkaniach zajęli czołowe miejsca.

Najbliższa przyszłość da nam odpowiedź w jakim stopniu zostaną urzeczywistnione życzenia p. Mérillon i czy płonne są nasze nadzieje.

Poza wojskiem, które znajdowało się w najlepszych stosunkowo warunkach i które winno uzyskać w polskiej drużynie reprezentacyjnej maximum miejsc, inne stowarzyszenia, a szczególnie Zw. Strzelecki, nie miały broni precyzyjnej i strzelnic odpowiednio pod względem technicznym urządzonych, poza tem trud-

ności, wynikające z ogólnej sytuacji, w jakiej znajdowało się ostatnio całe społeczeństwo, niweczyły wszelkie śmielsze poczynania strzeleckie.

Mimo ten stan, nie rokujący dużych nadziei na zwycięstwo polskich barw strzeleckich we Francji, zdecydowano strzelców wysłać, jak w innych dziedzinach polskiego sportu dla zadokumentowania naszej żywotności i wprost dla otrzaskania się z wymaganiami międzynarodowych konkursów.

Dzięki inicjatywie Zarządu Głównego Związku Strzeleckiego powstał na początku kwietnia b. r. Komitet Organizacyjny I. Narodowych Zawodów Strzeleckich, które odbędą się we Lwowie od 17 do 19 maja b. r., obejmując strzelanie do tarczy i strzelanie myśliwskie.

Komitet Org. Zawodów, złożony z przedstawicieli poważniejszych stowarzyszeń strzeleckich i myśliwskich oraz przysposobienia wojskowego, pozaurządzeniem zawodów, starać się będzie wysłać reprezentacyjną drużynę strzelców i myśliwych od Paryża.

We Lwowie więc odbędzie się z jednej strony egzamin sprawności strzeleckiej w związku z Olimpjadą, a z drugiej strony—przegląd liczebny i jakościowy polskiego sportu strzeleckiego i myśliwskiego, podsumowanie dotychczasowych wyników i ujednostajnienie kierunku rozwoju i potrzeb polskiego strzelectwa. W interesie ogólnym będzie przeto, aby myśliwi zetknęli się praktycznie z konkursowym strzelaniem do tarcz, i poznawszy jego zasady, wprowadzili strzelanie do swego programu i uczynili je uzupełnieniem strzelania myśliwskiego.

K. Kierzkowski.

Narodowe zawody strzeleckie we Lwowie.

I. SKŁAD PREZYDJUM KOMITETU.

Prezes: Min. Spraw Wojsk. gen. *Sikorski.*

Vice-prezesi: Dr. *Dłuski*—prezes Strzelca, inż. *Terech*—w. prezes Sokoła.

Skarbnik: p. *Lisowski*—w. prezes Bractwa Strzelców Kurkowych.

Sekretarz Generalny: red. *Juljan Ejsmond*, delegat Pol. Związku Myśliwych.

II. OGÓLNE INFORMACJE.

W programie Narodowych Zawodów Strzeleckich we Lwowie uwzględnione zostały dwa rodzaje strzelań: do tarcz z dowolnej broni długiej na odległość 100, 200 i 300 mtr., z broni małokalibrowej (karabinków cal. 22) na odległość 50 m. oraz strzelanie myśliwskie do ruchomego jelenia i rzutków (sztucznych gołębi). Stawać mogą do Zawodów strzeleckich we Lwowie wszyscy stowarzyszeni zarówno ze stowarzyszeń, uprawiających sport strzelecki programowo, jak i z innych stow. sportowych. Co do niestowarzyszonych Komitet Organizacyjny Nar. Zawodów Strzel. postawił warunek, aby mieli 17 lat skończonych.

Zgłoszenia do zawodów należy przesyłać do dnia 10 maja r.b. włącznie pod adresem: Warszawa, Komenda Miasta, Referent przysposobienia wojskowego, dla Komitetu Organizacyjnego I Narodowych Zawodów Strzeleckich, zaznaczając do jakiej kategorji zawodów ma zamiar dany zawodnik stawać. Po tym terminie żadne zgłoszenia przyjmowane nie będą. Stowarzyszenia strzeleckie, myśliwskie, przysposobienia wojskowego i oddziały wojskowe mają prawo czynić zmiany w składzie personalnym swych strzeleckich zespołów do dnia 16 maja b. r. w biurze Komisji zawodów we Lwowie.

Próbne strzelanie odbędzie się w dn. 16 maja b. r. na strzelnicy wojskowej we Lwowie dla tych zawodników, którzy nie mieli możności poddać się próbom kwalifikacyjnym na zawodach lokalnych, organizowanych przez poszczególne stowarzyszenia. Komitet organizacyjny przyjął jako zasadę, że każdy niestowarzyszony będzie dopuszczony do zawodów we Lwowie na podstawie zaświadczenia, wydanego mu przez jedno ze stow. strzeleckich, myśliwskich, przysp. wojsk. lub oddział wojskowy, że osiągnął na odległość 100 mtr., strzelając do tarczy 10-pierścieniowej o średnicy 1 mtr., serją 15 strzałów z dowolnej pozycji—minimum 76 punktów.

Każdy zawodnik dopuszczony do zawodów opłaca wpisowe w kwocie 2 złotych.

Bliższych wskazówek udzielają Zarządy stowarzyszeń.

III. PROGRAM

I. Narodowych Zawodów Strzeleckich we Lwowie

17, 18 i 19 maja 1924 r.

A. STRZELANIE DO TARCZ.

Strzelba.

I. Zawody wstępne.

Zawody jednostkowe na odległość 100 metrów dla wszystkich zawodników. Broń dowolna bez szkieł optycznych. 3 pozycje zasadnicze: stojąca, klęcząca i leżąca—po 5 strzałów z każdej pozycji i 3 strzały próbne—niezaliczone. Czas strzelania nieograniczony. Tarcza wzoru międzynarodowego o średnicy 1 metr z dziesięcioma okręgami.

II. Zawody o mistrzostwo miasta Lwowa.

Zawody jednostkowe na odległość 200 metrów z dowolnej pozycji stojącej, klęczącej lub leżącej — 10 strzałów i 3 próbne niezaliczone. Zawody dostępne dla zawodników, którzy osiągnęli w zawodach wstępnych minimum 76 punktów. Broń długa dowolna. Tarcza wzoru międzynarodowego.

III. Zawody o mistrzostwo Polski w r. 1924.

Zawody jednostkowe na odległość 300 metrów z trzech pozycji po 10 strzałów i 3 próbne niezaliczone. Dostępne dla strzelców, którzy osiągnęli w poprzedzających zawodach minimum 76 punktów. Czas 45 minut. Broń długa dowolna bez szkieł optycznych. Tarcza wzoru międzynarodowego.

IV. Zawody pocieszenia.

Zawody jednostkowe na odległość 100 metrów z długiej broni — dowolnej bez szkieł optycznych, dostępne wyłącznie dla zawodników, którzy nie zdobyli nagród w poprzednich zawodach. 5 strzałów i 3 próbne z dowolnej pozycji (stojącej, klęczącej i leżącej).

P i s t o l e t.

V. Pistolet automatyczny lub rewolwer.

Zawody jednostkowe na odległość 25 metrów z pozycji stojącej bez oparcia, ramię swobodne. 3 serje po 6 strzałów. Tarcza wzoru międzynarodowego.

VI. Karabinek.

Zawody jednostkowe na odległość 50 metrów z dowolnej małokalibrowej broni (cal. 22), bez szkieł optycznych. Cztery serje po 10 strzałów oraz 2 próbne do każdej serji. Pozycja stojąca bez podparcia. Tarcza wzoru międzynarodowego o średn. 0,50 mtr. z dziesięcioma okręgami.

B. STRZELANIE MYŚLIWSKIE.

VII. Do ruchomego jelenia.

a) strzał pojedyńczy, b) strzał podwójny.

Zawody jednostkowe na odległość 100 metrów z dowolnej broni gwintowanej z odkrytym celownikiem i muszką: jednostrzałowej, dubeltowej, magazynowej lub automatycznej bez ograniczenia wagi.

Tarcza przedstawia jelenia naturalnej wielkości, podzielonego na okręgi koncentryczne i na punkty (od 1 do 5). Jeleń widoczny jest dla strzelca w ciągu 4-ch sekund. Przepisy szczegółowe według regulaminu Komitetu Igrzysk Olimpijskich w Paryżu. (broszura „Tir de chasse“).

VIII. Do sztucznych gołębi (rzutków).

Zawody jednostkowe z dowolnej broni, jednakże o kalibrze nie większym od 12-go. Nabój śrótu nie może przewyższać 36 gramów, a śrót nie może być grubszy od nr. 6 angielskiego (2,5 mm średnicy). Odległość 15 metrów od miejsca wyrzucania gołębi. Przepisy szczegółowe według reg. Kom. Igrzysk Olimpijskich.

V. ROZKAZ P. MINISTRA SPRAW WOJSKOWYCH

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH
SZTAB GENERALNY
L. 57/ P. W.
Narodowe Zawody Strzel.

Warszawa, dn. 16 kwietnia 1924

O D P I S.

1. W przygotowaniu do Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich na Olimpjadzie 1924 r. we Francji urządzone będą Pierwsze Narodowe Zawody Strzeleckie.

2. Celem nadania Zawodom ogólno-narodowego charakteru został ukonstytuowany Komitet Organizacyjny Narodowych Zawodów Strzeleckich pod moim przewodnictwem i w składzie Prezydjum: Viceprzewodniczących D-ra Dłuskiego — Prezesa Związku Strzeleckiego i Inż. Terecha — Viceprezesa Sokoła, Skarbnika Pana Lisowskiego — Viceprezesa Warszawskiego Bractwa Strzelców Kurkowych i Sekretarza Pana Ejsmonda — Przedstawiciela Polskiego Związku Myśliwych.

3. Zawody odbędą się we Lwowie na strzelnicy wojskowej dnia 17, 18 i 19 maja 1924 r.

4. Pan Prezydent Rzeczypospolitej dla zaznaczenia swego udziału w tych Zawodach wyznaczył pierwszą nagrodę.

5. Całość spraw, związanych z organizacją, przygotowaniem i przeprowadzeniem Zawodów będzie regulować Komitet Organizacyjny Narodowych Zawodów Strzeleckich bezpośrednio lub przez upoważnionych w miejscach postoju D.O.K. delegatów.

6. Do zawodów będą dopuszczeni oficerowie i szeregowi służby czynnej, członkowie stowarzyszeń wchodzących w skład Komitetu oraz członkowie stowarzyszeń upoważnionych do P. W. i niestowarzyszeni, za pośrednictwem powyższych stowarzyszeń.

7. Na podstawie wyników Narodowych Zawodów Strzeleckich zostanie sformowana drużyna reprezentacyjna Polski i uda się na Międzynarodowe Zawody Strzeleckie do Francji.

8. W akcji tej tak doniosłej dla przyszłości sportu strzelectwa w Polsce, a więc i, dla pogotowia obronnego Narodu bierze czynny udział wojsko przez:
a) delegowanie swych przedstawicieli do instancji organizacyjnych zawodów,
b) wystawienie zawodników,
c) udzielenie potrzebnych pomocy technicznych Komitetowi Organizacyjnemu Zawodów.

9. Jako przedstawiciela wojska deleguję: do Komitetu Organizacyjnego Zawodów w Warszawie Generała Suszyńskiego, do Ekspozytury Komitetu Organizacyjnego we Lwowie Generała Thullie.

10. Z pośród najlepszych strzelców oficerów i szeregowych służby czynnej wystawią:
a) każde D.O.K. 5-ciu zawodników,
b) władze centralne, w liczbie określonej przezemnie osobnem zarządzeniem.

11. Oficerowie władz centralnych, chcący wziąć udział w Narodowych Zawodach Strzeleckich, mają się zarejestrować przed dniem 30.IV.24 u Dowódcy Szkoły Podchorążych w Warszawie, który zarządzi dla nich wstępne strzelanie kwalifikacyjne i wnioski co do liczby i nazwisk zawodników przedłoży mi do dnia 5.V.24.

12. Przejazdy dla oficerów i szeregowych służby czynnej na Narodowe Zawody Strzeleckie do Lwowa — kredytować z tem, że koszta kredytowe przejazdów pokryte zostaną z działu 8/13.

13. Należy udzielić pomocy technicznej w następujących rozmiarach:
A) Wszystkie D. O. K.:
1) Poprą pod względem organizacyjnym i technicznym urządzane przez stowarzyszenie upoważnione do prowadzenia P. W. lokalne i okręgowe zawody strzeleckie oraz inne przygotowania do Narodowych Zawodów Strzeleckich.
2) Przygotują dobrze ostrzelaną pierwszorzędną broń celem wypożyczenia jej wszystkim zawodnikom, udającym się na Narodowe Zawody Strzeleckie.
3) Zarządzą przewiezienie ostrzelanej przez zawodników cywilnych, broni przez uda-

jących się do Lwowa zawodników wojskowych służby czynnej.

B) Nadto D. O. K. VI:

1) Przygotuje strzelnice wojskowe we Lwowie do użytku Narodowych Zawodów Strzeleckich od dnia 15 do 19 maja 1924 r.
2) Odda do dyspozycji generała Tullie oficera sztabowego.
3) Przekaże generałowi Tullie 8.000 sztuk amunicji karabinowej na przeprowadzenie zawodów.
4) Umożliwi zakwaterowanie zawodników i gości.

14. Celem poinformowania Dowódcy O. K. VI o szczegółach organizacyjnych zawodów i omówienia technicznych szczegółów z Ekspozyturą Komitetu Organizacyjnego wysyłam do Lwowa majora Szt. Gen. Karola Pioreckiego.

Minister Spraw Wojskowych
(—) *Sikorski*
Generał Dywizji.

„Polska" wyprawa do Etjopji.

Polską nazwały ją niektóre pisma. polską ona wszakże nie była. Polska wówczas znajdowała się nad Wisłą, Wartą, Bugiem, Niemnem, Brdą i Dunajcem, ale nad Białym Nilem jej nie było... Była tam internacjonalna arystokracja, która wraz ze skrajnym socjalizmem jest tą samą międzynarodówką.

O tej wyprawie w jednym z wychodzących w Warszawie pism fachowych w numerze styczniowym czytać było można następującą wiadomość:

„*Polska wyprawa myśliwska na Nil Biały*". Jeden z młodych sportsmenów małopolskich organizuje na początek stycznia wyprawę myśliwską do Redżafu powyżej zlania się Gobatu i Bahrel Gazalu z Nilem Białym. Wyprawa będzie nosiła w części charakter naukowy, gdyż jeden z uczestników poświęcił się jako amator studjom przyrodniczym, a ponadto zakontraktowano taksydermistę, który będzie preparował okazy miejscowej awifauny. Kolekcje zebrane przez wyprawę wzbogacą zbiory Polskiego Państwowego Muzeum Przyrodniczego.

Ekspedycja wyruszy z Chartumu na parowcu „Gordon Pasza", wynajętym specjalnie dla tej wyprawy. Płynąc w górę rzeki, członkowie ekspedycji będą dokonywali wycieczki myśliwskie na brzeg Nilu, zatrzymując się w miejscach obfitujących w zwierzynę. O przebiegu ekspedycji nie omieszkamy informować naszych czytelników".

W numerze z lutego, czytamy już dalsze szczegóły i tak, wymieniono tam nie tylko organizatora wyprawy ale i wszystkich jej uczestników po nazwisku. Wyprawa ta rzeczywiście przyszła do skutku, a rezultaty jej ogłasza wyżej wzmiankowane pismo w następujących biuletynach:

„Dnia 11 stycznia. Szef wyprawy zabił dubletem dwa bawoły.

„Dnia 4 lutego. Udało się nam zabić rzadkiego Balaeniceps Rex. Radość nasza niema granic".

„Dnia 5 marca. Wyprawa skończona. Wspaniała. Zabiliśmy: 4 słonie, 3 lwy, 12 bawołów, 2 żyrafy, 115 antylop i 150 różnych ptaków. Mnie szarżował niestrzelany słoń. Cudem ocalałem, a zginął na mojem miejscu mój shikari (tuziemiec) przebity kłami o 5 kroków odemnie".

Dwa wielkie nieśmiertelne czyny zdobią żywot młodej Polski porozbiorowej, z których dumą naród cały się chełpić a cały świat podziwiać zmuszony, dwa wysiłki patrjotyczne do ostateczności doprowadzonego narodu. „Cud nad Wisłą" i „Cud ustalenia waluty". W chwili właściwej były one dowodem poświęcenia, ofiarności i solidarności dla każdego obywatela, probierzem rzeczywistej miłości ojczyzny. Każdy wykazał wtedy czem jest i jak pojmuje obowiązki państwowe. Jak nietaktem i nieprzyzwoitością byłoby w czerwcu i lipcu 1920 r. urządzać festyny i bale, o których też nikt nie myślał, — tak przez całe zdrowo myślące i patrjotyczne społeczeństwo urządzanie w styczniu i lutym 1924 r. egzotycznych wypraw było osądzone jako prowokacja.

Prawidłowi myśliwi i miłośnicy ojczystej przyrody zapatrują się na rzecz tą jeszcze z innego stanowiska: zdobyte nad Nilem okazy mają służyć muzeum przyrodniczemu; trwalsze od murów muzeum byłoby nazwisko tego, któryby cząstkę na wyprawę etjopską wydanych funtów szterlingów zużył na zaprowadzenie żubra do Białowieży, założył park hodowli zwierząt na wyginięciu będących, co wszystko byłoby rzeczywistym pomnikiem wielkodusznego ofiarodawcy. Józef hr. Potocki najprzód założył Pilawin zanim pojechał polować do Cejlonu na słonie.

Uczestnicy wyprawy etjopskiej, przy tej sposobności mogą sobie powtórzyć znane staropolskie przysłowie, uzupełniając je ostatnim wierszem:

Z Czartoryskim żyć, — z Radziwiłłem pić,
Z Ogińskim jadać, — z Rzewuskim gadać,
Z Wodzickim polować,—z P... kompromitować.

Wł. Janta-Połczyński.

Myśliwstwo jako szkoła życia.

Myślistwo od najdawniejszych czasów było szkołą życia ludzkiego. Wyrabiało ono siły i rozum. Człowiek walczył z drapieżnikami, które czyhały na jego życie, odpędzał je od swoich stad, chronił przed zwierzyną swoje zasiewy, zdobywał mięso na pokarm i futra na okrycie.

W tej ciągłej walce kształcił swe ciało i duszę. Idąc z oszczepem na potężnego niedźwiedzia—wzmagał swą moc, hartował odwagę, doskonalił zręczność. Ścigając drapieżniki groźne, przewyższające go siłą—używał pomocy rozumu, używał za broń myśli — i od tego myśliwym nazywany — sprytem i przebiegłością zwycięstwo odnosił.

Chytrym jest lis, lecz bardziej chytrym musiał być człowiek, który lisa zdobył, jako myśliwski łup. Przebiegłym jest wilk, lecz przebieglejszym jest łowca który go ubije.

Myślistwo było przygotowaniem do rzemiosła wojennego nie dlatego tylko, że doskonaliło ciało i duszę, lecz dlatego, że wyrabiało wszystkie przymioty niezbędne w walce. Przymioty te — to przedewszystkiem: odwaga, spostrzegawczość, przedsiębiorczość, szybkość orjentacji, szybkość decyzji.

Życie jest walką o byt; tysiące przeszkód piętrzy się przed nami, tysiące wrogów czyha na naszą zgubę. Wszystkie przymioty konieczne w walce, ażeby osiągnąć zwycięstwo, niezbędne są również do zwycięstwa w życiu.

Kto stchórzy — zginie. Kto nie rozpozna tropów kołującego dokoła nas śmiertelnego wroga — zginie. Kto wobec grożącego niebezpieczeństwa nie poweźmie szybkiej decyzji obrony — zginie.

A wszystkich tych zalet chroniących człowieka od zguby uczy nas wielki nauczyciel ludzkości — łowiectwo.

Lecz nietylko uczy nas ono jak siłą siłę zwalczać, męstwem — męstwo, odwagę — odwagą nieustraszoną. Ono nas uczy jeszcze, iż rozum ludzki potężniejszym jest od wszelkiej siły. Dzikie drapieżniki powalone ręką ludzką są dowodem tryumfu rozumu i przebiegłości nad mocą fizyczną.

Rozwijając w nas przymioty niezbędne w życiu naszem, myślistwo kształci naszego ducha i ciało, ażeby myśliwy zdrów i szczęśliwy mógł się uczyć od mądrej przyrody jej nieśmiertelnych prawd.

Gdyśmy chorzy lub smutni uciekamy z gwaru miast w zielony las, w kojący las. Jak zły sen pierzchają troski. Oczy wypoczywają w zielonej toni ostępu. Uszy koi niezmącona cisza leśna. Płuca oddychają żywiczną wonią i zapachem leśnych ziół. I dusza ludzka wypoczywa i kąpie się w pogodnej błogości — w pięknych przeżyciach myśliwskiego żywota.

A wówczas zaczynamy się uczyć od przyrody jej mądrości — mędrszej ponad wszystkie rozumy człowiecze, mądrości odwiecznej — którą podpatrzeć może jedynie w zielonej kniei wszechwidzące oko łowcy.

Juljan Ejsmond.

CIETRZEW.

(*Dalszy ciąg*).

Od sierpnia cietrzewia można już spotkać na terenach wspólnych ze stadkami młodych, do których się jednak nie przyłącza, aż do czasu opadnięcia liści brzozowych.

Gdy to nastąpi, a młode cietrzewie są już zupełnie wypierzone, przyłączają się do nich sąsiednie stare sztuki, zarówno koguty, jak i jałowe kury, które zostały niezapłodnione, albo którym zniszczono gniazdo późną wiosną (przy zniszczeniu lęgu w pierwszej połowie toków, kury niosą się po raz drugi,—stąd spotykane nieraz późne stadka).

Jałowe kury trzymają się często przez lato parami albo po kilka, pierzą się wolniej, nie tak intensywnie, jak koguty i prawie nigdy nie tracą możności latania. Trzymają się też zawsze miejsc dostępniejszych i otwartszych.

W końcu sierpnia lub we wrześniu rozpoczynają, jak już rzekłem, stare koguty tok jesienny, który trwa około miesiąca i ma miejsce zawsze na drzewie. W międzyczasie łączą się już ze stadkiem i wówczas nieraz widzieć i słyszeć można tokującego cietrzewia, siedzącego nieco opodal od żerującego stadka.

Z nastaniem śniegów rodzinne stadka łączą się w większe stadka i odlatują niekiedy z miejsc lęgowych w okolice, obfitujące w brzozę i olszynę koczując takim sposobem na parę mil wkoło.

Cietrzew, jako typowa kura, jest ptakiem wyłącznie dziennym. Z nastającym zmrokiem udaje się na spoczynek, zawsze na ziemi, wtulając się w gęste krzaki, sploty traw, wrzosów i t. p. ochronnych roślin, a w zimie kryjąc się w jamkach, wykopanych w śniegu.

Dzień rozpoczyna się dla naszego ptaka dopiero po wschodzie słońca, latem zaś jeszcze później, wówczas gdy już rosa trochę obeschnie.

Wtedy zaczyna się żerowanie, trwające normalnie do 10-ej, poczem ptak odpoczywa, latem i jesienią na ziemi, grzebiąc się w piasku i wygrzewając się na słońcu, a zimą (prócz mroźnych dni) na drze-

wach. Wieczorne żerowanie trwa od godziny 2—3 do wczesnego zmierzchu, poczem ptaki odrazu udają się na spoczynek.

Wiosna, pora toków, zmienia zupełnie porządek dnia. Jedyny to czas, gdy cietrzew mało i krótko śpi w nocy, powetowując to drzemką dzienną. Żerowanie, najważniejsza funkcja życiowa, schodzi wówczas na dalszy plan, traktowana bywa pobieżnie i ma zwykle miejsce w godzinach przedwieczornych.

* * *

Pierwsze polowanie na młode cietrzewie z wyżłem rozpoczyna się wówczas, gdy koguty zaczynają dostawać ciemnych plam na szarem tle, czyli jak mówią na Białej Rusi — farbują i przez prawo ochronne wyznacza się zwykle na 15 sierpnia, albo 1 września. Termin 15 sierpnia jest dla okolic północnych, gdzie stadka są późniejsze, odpowiedni, natomiast na południu polowanie mogłoby się właściwie zaczynać z dniem 1 sierpnia. Pamiętać jednak należy o tem, że na południu cietrzewi wogóle jest mało i wobec tego łatwe odstrzeliwanie młodych nie jest wskazane, we wrześniu zaś ptaki dopuszczają trudniej i przez to mniej są narażone na wybicie. Ten właśnie cel ma prawo ochronne, obowiązujące obecnie na terenie b. Król. Kongr.

Polowanie to trzeba zaczynać nomalnie w godzinę albo i dwie po wschodzie słońca, zwłaszcza jeżeli rosa jest silna, gdyż ptaki, nie lubiące wilgoci, siedzą bardzo długo w miejscu noclegu, nie dając śladu z obawy przed zamoczeniem się i pies nawet o dobrym węchu może z łatwością minąć o parę kroków przyczajone stadko.

Jeżeli natomiast ptaki już ruszyły z miejsca, dały ślad, to z powodu silnego zapachu, jaki wydzielają (który to zapach nawet człowiek o czułym węchu przy sprzyjających okolicznościach może zblizka poczuć), łatwe są do wytropienia nawet dla psa o gorszym węchu.

Wyruszając na żer stadko trzyma się matki, za chwilę jednak w pogoni za pokarmem rozbiega się dość szeroko i można je niekiedy zastać rozrzucone na przestrzeni hektara. Najlepszy to moment do polowania, gdyż pies doprowadza do każdej sztuki po kolei, a strzał przeważnie nie płoszy siedzącego obok rodzeństwa, gdyż cietrzewie, tak jak i kuropatwy, mają zwyczaj, będąc ukryte w krzakach lub trawie, przyczajać się i dopuszczać napastnika do ostatniej chwili.

Jeżeli stadko zerwało się i odleciało razem, to chcąc je znaleść nanowo, należy przeczekać z kwadrans, a to z tej racji, że ptaki, które zapadły po spłoszeniu, siedzą czas jakiś kamieniem, nie dając śladu, i pies z trudnością je znajdzie. Spłoszone ptaki odlatują na różną odległość, tem większą, im są starsze i im więcej bywają płoszone. Siadając, rozsypują się zwykle szerzej, a potem dopiero zbierają się znowu razem.

Jeżeli myśliwy rozpędził stadko w różne strony, to ptaki siadają bliżej, siedzą dłużej nieruchomo a potem, o ile zachowywać się spokojnie, zwabiają się podwójnym gwizdem o czystym tonie, a matka zwołuje młode kwokaniem.

Pojedyncze młode ptaki siedzą zwykle bardzo twardo, tak, że można je nieraz żywcem złapać, czego jednak dobry myśliwy oczywiście czynić nie będzie. Nie ciekną też prawie nigdy, stadko zaś w całości umyka niekiedy przed psem piechotą dość daleko.

Im są cietrzewie starsze i częściej płoszone,

AFRYKAŃSKIE ŁOWY.

Polowanie na hipopotamy.

...8/III 1911 roku. Rankiem, o wschodzie słońca zwijamy namioty i wyruszamy w dalszą drogę.

Jesteśmy już w głębi Abissynji, na granicy sławnej z obfitości różnego zwierza krainy „Borana", mam więc pewność, że dzień ten przysporzy mi niepoślednich wrażeń i nowych myśliwskich trofeów; i nie mylę się tym razem, a nawet rezultat polowania dnia tego, przechodzi najśmielsze moje marzenia.

Dziś teren leżący po prawej stronie naszej drogi należy do mnie, po lewej do pana D. Jadąc na mule, wyglądałem niecierpliwie i z wielką ciekawością, jaka zwierzyna się pokaże. Wkrótce też spostrzegłem stadko gazelli Granda, pasące się o kilkaset metrów pośród krzaków. Śliczne te antylopy, podniosły swe suche ładne główki, ozdobione zgrabnemi rogami, i spoglądały na przechodzącą karawanę, nie myśląc wcale o ucieczce. Natychmiast zeskoczyłem z muła, oddałem cugle jednemu z moich „sagari" (myśliwy, strzelec) na drugiego zaś, imieniem Musu Geri skinąłem, żeby szedł za mną. Antylopy zajęte obserwowaniem obozu, pomimo, że naogół są bardzo czujne, dały się łatwo podejść; jednak, przyglądałem się im dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować na strzał do tak ładnego stworzenia. Ale niepokój, który wkrótce jęły okazywać przywrócił mi równowagę myśliwską; wziąłem więc na cel najładniejszą sztukę i dałem strzał ze sztucera. Antylopa trafiona w komorę zrulowała w ogniu. Strzeliłem natychmiast z drugiej lufy do innej, przebiegającej w pobliżu, która też padła po kilku susach. Były to bardzo ładne okazy i dublet ten sprawił mi wielką przyjemność. Zaraz też na odgłos strzałów nadbiegł drugi mój strzelec Ali Geri, z mułem, i obaj zabrali się do zdjęcia skór i wycięcia rogów z zabitych antylop, a także do wykrojenia na obiad najlepszych części tej niecodziennej i nadzwyczaj smacznej zwierzyny.

Wkrótce dopędziłem obóz, a niedługo nadszedł i pan D. któremu udało się zabić ładnego oryksa. (Oryks: antylopa wielkości jelenia, o rogach czarnych, kształtu piki, długości metra lub więcej). W świetnych więc humorach jadąc na czele naszej karawany, składającej się z siedmiu wielbłądów, siedmiu mułów, oraz kilkunastu abisyńczyków i somalisów, opowiadaliśmy sobie nawzajem z ożywieniem o dopiero co przeżytych chwilach i zdobytych trofeach. Naraz uwagę naszą zwróciło kilka dużychśla-

tem trudniej dopuszczają psa i myśliwego na bliską metę, wogóle jednak w gęstych trawach i zaroślach łatwiej, niż na mszarach i otwartych wrzosowiskach.

Gdy koguty wypierzą się na czarno, kończy się już zwykle to polowanie, gdyż wówczas ptaki zrzadka tylko i przy sprzyjających okolicznościach dopuszczają na strzał.

Polowanie, rozpoczęte po wschodzie słońca, należy przerwać koło południa, na jakie dwie godziny, zwłaszcza w dnie upalne, by dać odpocząć psu, a także z tej racji, że w gorącu pies gorzej czuje i niezawsze odnajdzie zwierzynę. Po południu polowanie bywa nieraz bardzo dobre na wieczornem żerowisku i trwać może do zmierzchu.

Zaczynając zrana, szukać należy cietrzewi w miejscach noclegowych lub blisko nich, czyli w gęstwinach błotnych i suchych; później tam, gdzie zwierzyna żeruje — koło pól na jagodnikach. Jeżeli w bliskości są spokojne miejsca, gdzie rosną maliny lub poziomki, należy je zawsze zbadać, gdyż jest to ulubiony pokarm cietrzewi, pozatem szukać w suchych borach na czernicach i borówkach, a na błotach tam, gdzie rosną czernice, żórawiny i kościanki.

Ku południowi znaleźć można cietrzewie koło „kąpieli", to jest miejsc słonecznych, gdzie kąpią się w piasku lub ziemi, na wieczornem zaś żerowisku tam, gdzie i przed południem, a przed samym zmierzchem w blizkości miejsc noclegowych.

Obecność cietrzewi w danej okolicy można w środku lata poznać po t. zw. dróżkach, czyli specjalnych tropach w bujnej trawie, które są pokręcone w różne strony, a trawa rozchylona na boki i położona w kierunku biegu ptaka. Pozatem widzieć tam można na drogach, kretowiskach i innych miejscach, obnażonych z pokrowca roślinnego, „kąpiele"— jamki w których się cietrzewie kąpały, bardzo często z pozostawionem w nich pierzem.

Pamiętać należy, że cietrzewie nie lubią miejsc, deptanych przez bydło i trzymają się prawie zawsze tylko tam, gdzie nie chodziły inwentarze ludzkie i nieodzowne przy nich psy, bliskość natomiast samego osiedla, nieraz bardzo gwarnego, lub uczęszczanej drogi nie ma żadnego znaczenia.

Przy tem polowaniu spotyka się też często stare sztuki, zarówno koguty - wypiory jak i jałowe cieciorki. Nie dopuszczają one nigdy psa tak blisko, jak młode, ale i strzały bywają też niedalekie, zwłaszcza w miejscach gęsto zarośniętych. Te sztuki ciekną jednak zwykle silnie przed psem, a szczególnie koguty prowadzą psa za sobą bardzo daleko, uciekając piechotą do największej gęstwiny i tam się porywając.

Strzały do starych są o wiele trudniejsze właśnie z powyżej przytoczonych przyczyn, a także dla ich mocniejszego i szybszego lotu do młodych natomiast, zwłaszcza w początku jesieni, bardzo łatwe.

Tresura psa ma oczywiście wielkie znaczenie w powodzeniu na tem polowaniu. Pies powinien być spokojny, nie latać jak warjat wokoło, trzymać się blisko pana, co jest konieczne z powodu gęsto zarosłego terenu, doprowadzać wolno i stać twardo. Te ostatnie zalety są ważne zwłaszcza późną jesienią, gdy cietrzewie są ostre i zrywają się daleko.

Jak już wyżej zaznaczyłem, polowanie to powinno się uprawiać tylko na wielkich obszarach i tam, gdzie jest dużo cietrzewi, a i to oszczędzać należy wedle możności kury, strzelając tylko do kogutów. Nie należy więc polować, aż wówczas, gdy w stadkach zaznaczą się wyraźnie płcie. Pozatem w każdym razie należy oszczędzać matkę stada, a to

---

dów wyraźnie zaznaczonych na ścieżkach i w miejscach nie porośniętych trawą. Zeszliśmy więc zaraz z mułów i obejrzawszy bliżej przekonaliśmy się, że są to ślady hipopotamów. Im dalej szliśmy, tem było więcej tych śladów, przecinających puszczę w różnych kierunkach. Jedynie blizkość wody mogła być tego powodem. Istotnie po upływie pół godziny doszliśmy do łożyska rzeki i naturalnie rozbiliśmy tu namioty chcąc zapolować na hipopotamy. Zaraz też po obiedzie poszliśmy z panem D. obejrzeć okolicę i zaznajomić się z terenem przyszłych łowów. Tu muszę zaznaczyć, że abisyńskie rzeki z wyjątkiem jednej, Wehi-Grande, która częściowo stanowi granicę pomiędzy Abisynją a kolonją angielską, mają tą właściwość, że w czasie suchej pory roku, a więc i wówczas gdyśmy polowali, częściowo wysychają. Idąc łożyskiem spotyka się wodę zaledwie co kilkadziesiąt lub kilkaset metrów, zależnie od miejscowości; są to niewielkie sadzawki o wodzie zupełnie świeżej, co według mnie dowodzi istnienia w tych miejscach podziemnych źródeł. Zwykle w takich sadzawkach znajdowało się moc sumów nadzwyczajnej nieraz wielkości, no i sporo krokodyli.

W miejscowości w której znajdowaliśmy się obecnie, sadzawki te były częstsze i większe; widocznie hipopotamy przywędrowały z dalszych stron, chcąc tu znaleźć obfitsze pożywienie i kąpiel, bez której nie mogą się obejść. Całe wybrzeże rzeki, przeciętna szerokość której wynosiła 20 do 30 metrów, pokryte było śladami tych ogromnych zwierząt. W ciągu dnia hipopotamy zaszywały się w krzaki, gęsto przerośnięte kolczastą rośliną z gatunku akacji, której człowiek bezkarnie nawet dotknąć się nie może, a o przedarciu się przez którą niema nawet mowy. Akacje te, kształtem i wyglądem podobne do drzew wiśniowych, mają niezbyt duże, ale nadzwyczaj mocne haczykowate kolce, i wystarczy tylko otrzeć się o nie ubraniem, by natychmiast w kilku miejscach naraz zostać przytrzymanym; uwolnić się zaś z tych zdradzieckich sideł, można tylko przy pomocy ogromnej dozy cierpliwości i spokoju. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy zahaczyłem o taki krzak, a chcąc się prędko wydostać jąłem się niecierpliwić i rzucać, zostałem wkrótce tak przez te kolce ujarzmiony, że tylko przy pomocy mego czarnego strzelca zdołałem się uwolnić, jednak z poszarpanem ubraniem i podrapaną do krwi skórą na rękach i plecach. Otóż kolce te, których nawet większość dzikich zwierząt unika, nic nie znaczą dla hipopotama, mającego skórę której grubość, jak to sam stwierdziłem, dochodzi na k[illegible] do pięciu centymetrów.

z dwóch przyczyn — jako opiekunkę młodego stadka, potrzebującego jej do późnej jesieni, a także z tej racji, że zostawiając starkę, zapewnia się sobie nowy ląg na rok następny w tem samem miejscu, albowiem kury trzymają się dość pilnie jednej okolicy, a przytem im starsza kura, tem więcej miewa młodych, a z powodu rosnącego wciąż doświadczenia lepszą im może dać opiekę.

Strzelać można śrótem cienkim 1,75 m. m. ale ku jesieni, gdy strzały bywają już dalsze i ptaki mocniejsze, lepiej używnć śrótu grubszego.

(D. c. n.). *Włodz. Korsak.*

URYWKI Z PAMIĘTNIKA MYŚLIWSKIEGO.

We wspomnieniach każdego myśliwego, spisanych i niespisanych polowania błotne są kartą barwną i niezmiernie pociągającą. I rzeczywiście polowanie to tyle zawiera uroku, iż wśród polowań na dzikszą zwierzynę godnie może stanąć obok wiosennych ciągów, a żadne inne, nawet śliczne toki cietrzewia nie dorównują mu. Lecz niestety postęp czasu, kultura, ogranicza je, kurczy jego teren, znikają rozległe moczary i kto pragnie przyswoić sobie wyobrażenie, jak wielkie używanie myśliwskie błota ongiś dawały, ten już do najstarszego pokolenia myśliwych zwrócić się musi. Ci najstarsi, dzisiaj z przeróżnych powodów unikający grzązkiego terenu, chowający skrzętnie swój śrut na pędzonego wygodnie wigilijnego zajączka, tem chętniej sięgną do zbrojowni swych wspomnień i roztoczą przed okiem młodszych bajeczne rozkłady „ptaszków", jakie wtedy dawał jeden dzień pracowicie na błotach spędzony. — Przebrzmiał dawno dymny huk ich kapiszonówek i lefauchówek, minęły bezpowrotnie czasy tego raju, gdzie kszyk jeździł na kszyku, a dubeltem poganiał. Rysunek starego Kossaka ilustrujący w Pola „Roku Myśliwca" miesiąc sierpień niejednemu myśliwemu jest jakby wykrojony z tęsknej wyobraźni, bo to beztroskie pod upalnem niebem brodzenie po niezmierzonej nogi zieloności moczarów jest symbolem prawie czasów dawnych, a więc dobrych.

Skrawek tylko błót posiadam i chcąc głębiej odetchnąć zapachem szuwaru i wody korzystam z sąsiedzkiej gościnności. Przez pobliski Niżniów przepływa Dniestr i utworzył tam kilka jeziorek. Tegoroczne zaś czerwcowe słoty spowodowały potężny wylew. Wody cofając się pozostawiły tamy zamulone, a w każdem zagłębieniu bagienko. Bagienka te i zamulone zboża z kukurydzy eldoradem się stały dla ptactwa błotnego. Od ostatniej lipca dekady przez skwary sierpnia aż po wrześniowe chłody częstym byłem gościem na tej pięknej równinie między poważną rzeką a lesistym wałem pagórków i rzec mogę, iż użyłem nietylko na strzałach, ale i na życiu licznie tam zebranej ptasiej rzeszy.

Bujnie i gwarliwie zakwitło to życie na Niżniowskich mokradłach. Przemieszkują tam kolonje czapel, z których niejedna wysoko nad strzelcem przeciągając daje sposobność do wypróbowania siły cho-

---

Idąc wzdłuż rzeki natknęliśmy się na krajowców polujących tu również na hipopotamy dla kłów i skór. Z tych ostatnich wyrabiają laski, tarcze, coś w rodzaju chodaków, i t. d. Dowiedzieliśmy się od nich przez tłumacza, że hipopotamów tu dużo, ponieważ w okolicy wody powysychały, i że w nocy hipopotamy wychodzą na żer i kąpiel do owych rzecznych sadzawek. Jednem słowem nasze przypuszczenia zostały stwierdzone.

Wracając na obiad zabiłem pierwszego marabuta, pióra z ogona którego tak bardzo są cenne. Po obiedzie poszliśmy z panem D. przygotowywać miejsca na zasadzki. Ja udałem się z moimi „strzelcami" w górę rzeki i obrałem miejsce około jednej z większych sadzawek. Wobec tego, że wszędzie widać było ślady lwów, a nawet zeszłej nocy jeden z nich potężnym rykiem postawił nas wszystkich na nogi i krążąc dokoła obozu zmusił do dłuższego czuwania, musiałem się przedewszystkiem zabezpieczyć od możliwego napadu. Co innego jest bowiem być w obozie pomiędzy ludźmi i pośród płonących ogni, a co innego w puszczy, przy świetle księżyca tylko, mając u boku jednego somalisa, o którym się wie napewno, że przy pierwszym niebezpieczeństwie [illegible]rapnie natychmiast i dobrze jeszcze, jeżeli nie za[illegible] ze sobą zapasowej broni. Kazałem więc strzelcom narąbać większą ilość gałęzi owej kolczastej rośliny i porozrzucać je gęsto wokoło mojej zasadzki pasem szerokości 30 do 40 kroków, tak, ażeby lew nie mógł przeskoczyć tej osłony: na przejście przez nią nigdy się nie zdecyduje, bojąc się okaleczenia łap. Dla przejścia pozostawiono wązką, krętą ścieżkę, zamaskowaną kilkoma dłuższemi akacjami ułożonemi wierzchołkami nazewnątrz. Po środku zrobiłem sobie rodzaj fortecy, ułożywszy akacje wkrąg na wysokość piersi, pozostawiając tyle tylko wolnego miejsca, by starczyło na dwie osoby. Po ukończeniu przygotowań wróciłem do namiotu. Pan D. również już powrócił, a że słońce zniżyło się ku zachodowi zasiedliśmy do kolacji, naradzając się jednocześnie nad tem o której godzinie mamy wyruszyć. Żaden z nas nie polował przed tem na hipopotamy, nie mieliśmy więc pojęcia o której one wychodzą ze swych legowisk. Ostatecznie postanowiliśmy wyruszyć około dziewiątej, kiedy księżyc już się dość wysoko wzniesie. Muszę zaznaczyć, iż w całej Abisynji słońce wschodzi i zachodzi około godziny szóstej, czas zaś zmroku trwa bardzo krótko.

Bronisław Gordziałkowski.

D. c. n.

ke'ów, ostrości naboi. Opodal błotniak stawowy niezgrabnie unosząc się nad szuwarem sumiennie bada jego zawartość. Z natrętnym piskiem drobne kuliki mieszają się między szlachetniejszą brać, a nagle o parę kroków od myśliwego wylatuje z trzciny wystraszony duży bąk; daremny wysiłek jego miękkich skrzydeł, nie będzie on już nocą zadziwiał nieświadomego wędrowca podziemnem huczeniem, strzałem rozerwany spada jak strzęp i nikt się po brzydkiego szkodnika nie schyli. Lecz oto przystaje myśliwy, bo przeciągłem melodyjnem gwizdnięciem zapowiada się zdobycz ponętna— kulon stepowy— cóż kiedy w przesadnej aż ostrożności dalekiem półkolem zwolna okrąża poważny ten ptak zaczajoną nań broń. Głos jego donośny nieprędko zaginie w oddali.

Wyjeżdżaliśmy zawsze — mój szwagier i ja — popołudniu i spędzaliśmy 3-4 godziny na błotach. Pierwsza wyprawa odbyła się 20 lipca i skromny dała wynik 15 sztuk kaczek i kszyków. Orjentowaliśmy się dopiero w terenie, dodany nam przewodnik tracąc wiele czasu niepotrzebnie przewoził nas na lichem czółenku przez głębokie jeziorko, które, jak się później okazało, można było piechotą obejść.

W 6 dni później zabiliśmy 19 samych kszyków. Kaczek dziwnym trafem nie zastaliśmy, a i kszyków niewiele; wody były jeszcze zbyt wielkie wszędzie. Strzeliłem do wysokiej czapli; po moich strzałach leciała prosto na Józia, który się daleko ode mnie znajdował i moich strzałów nie zauważył; gdy się już do czapli złożył, ona ku jego zdziwieniu wydając krótki okrzyk zwinęła się w powietrzu i padła nieżywa. Męczące było to popołudnie i dzień był jeden z najgorętszych tego niezwykle gorącego lata. To też nabawiłem się lekkiego udaru słonecznego i powróciwszy do domu musiałem czoło poddać dobroczynnym okładom.

Następne nasze odwiedziny 13 sierpnia odbyły się w innych niż poprzednio warunkach. Dzień był ciepły, ale i parny, popołudniu padał deszcz i późno zajechaliśmy przed dwór Niżniowski, gdzie zastaliśmy właściciela zięcia, Maryana Jaroszyńskiego. Z nim pojechaliśmy na błota. Okrążywszy tym razem głęboką wodę, która nam drogę ku kaczkom i kszykom przegradzała, wstąpiliśmy na błota i natychmiast wypłoszyliśmy znaczne ilości ptactwa. Kaczki, przeważnie cyranki i podgorzałki, daleko porywały się i ku nam postępującym w głębokiej wodzie leciały, jakby się przypatrzyć chciały. Niewiem, czy tą niespodziewaną ofenzywą oszołomieni, czy raczej podnieceni krótkością czasu, który nas od wieczora dzielił i czarnemi chmurami, które się groźnie ku nam podsuwały, dość, że strzelaliśmy wszyscy trzej jak młodzi studenci na początku wakacyj i w wyniku pierwszej bezładnej tyralierki kilka zaledwie sztuk uderzyło w wodę. W drugiej części krótkotrwałego polowania lepiej pracowaliśmy. Mój rozkład wynosił 16 sztuk: 9 kszyków, 6 kaczek i czaplę. Józio miał o dwie sztuki mniej. Tymczasem błyskawice coraz jaskrawiej rozświetlały ponure niebo, grzmoty potężniały, a gdyśmy siedli na wózek lunęła letnia ulewa, biła w nas z wysileniem, zmoczyła do nitki. Droga wzdłuż Dniestru wybojów pełna wydała nam się nieskończenie długą; dopiero na gościńcu przesiadłszy się i pożegnawszy naszego gospodarza raźniej potoczyliśmy się do Koropca.

Prawdziwe bogactwo kszyków odsłoniło nam się 17 sierpnia. Działanie słońca bowiem obniżyło już poziom wód, więcej było bagna niż wody i co zatem idzie, przewaga kszyków nad kaczkami. I najmłodsze kszyki już w zupełności lotne lekko siedziały. To też wyżeł był zbyteczny i braku jego nie odczuwaliśmy, tembardziej, że przyłączający się do nas przygodnie pastuszkowie wcale zręcznie podnosili strzelone sztuki. Część kszyków siedziała na mule nad brzegiem jeziorek i te kszyki tłumnie wzlatywały wyzywając do dalekich efektownych strzałów, inne równie liczne wydeptywaliśmy z maleńkich bagienek trawą porosłych i fioletowym kwieciem, które magnetycznie przyciągało strzelca. Szliśmy równolegle od siebie od błotka do błotka powracając do lepszych, na których kszyki ponownie zapadały. Springerówkę zamieniłem dzisiaj na broń Koletzky'ego dużo miała ona roboty, aż ręce parzyła; Józia wypróbowana Sauerówka również nie milkła i w trzy przeszło godziny mieliśmy sztuk 77, w tem kszyków 64 — chłopcy uradowani odnosili ciężkie troki do wózka przynosząc w zamian pudełka z nabojami. Nieźle byliśmy wstrzelani, gdyż równo dwa ładunki wyszło na sztukę mimo, iż niezbyt zważaliśmy na odległość, oraz, iż musieliśmy użyć do kszyków kilkudziesięciu naboi ze śrutem grubszym. Józio dziś lepiej strzelał i zabił 8 sztuk więcej ode mnie. Bylibyśmy tego dnia może i setki dosięgli, gdyby nie to, że ciąg wieczorny zupełnie zawiódł. Weseli wracaliśmy, czekał na nas na korytarzu mój teść — sam zamiłowany ongiś „ptasznik", ale—odkąd polować przestał — lekceważący dzisiejszy zwierzostan i stale pesymistyczny co do możliwych do osiągnięcia rozkładów. Zapytał wpierw o pogodę, potem obojętnie o wynik. Równie obojętnie rzuciłem cyfry; zapanował jeszcze nad zdziwieniem. „To tyle było tych kszyków"? zapytał „Nie, kszyków było niewiele" odrzekłem. „Jakto" wybuchnął już „musiała być masa!" „Strzelaliśmy dobrze" załagodziłem dyskusję.

Józio pojechał do swego majątku Horosnicy nad Zbruczem; 24-ego miał wracając przejechać po południu przez Niżniów. Pojechałem na stację ubrany do polowania i zabrałem też naboje dla Józia wiedząc, iż szczegół ten zupełnie wystarczy, aby go skłonić do przerwania podróży i zapolowania ze mną aż do wieczornego pociągu. Tak się też stało. Po bardzo krótkim wahaniu opuścił pociąg, przebrał się w gościnnym zawsze dworze i spędziliśmy znowu parę arcymiłych godzin. Pogoda była cudna, już nie było tak gorąco, ładny złożyliśmy rozkład z 61 sztuk—16 krzyżówek, cyranek i podgorzałek, a kszyków 42. Lecz tych już było trochę mniej; trwała, ostra pogoda osuszała błota. Inaczej bylibyśmy — rozporządzając dziś drobnym śrutem pobili naszą ostatnią cyfrę, tembardziej, że miła nieupalna pogoda była z nami sprzymierzona. Już odchodziło od nas skwarne lato, świadczyły o tem nietylko te lekkie a rzeźwe podmuchy wiatru niosące myśl o jesieni, lecz i przelot ptaków. Znamiennym, myśliwemu dobrze znanym obrazkiem jest ten obradujący poważnie na łące naokoło stogu sejm bociani; o zmroku ogromny rój jaskółek znienacka uderzył na szuwar oszałamiając szumem tysiące zwinnych skrzydełek, a gdy noc zapadła, odezwały się wysoko pod ciemnym stropem ponure głosy ciągnących dużych

bąków, którym wtórowały dyskretnie małe ich krewniaki. Ładną zdobyczą mogliśmy dzisiaj urozmaicić nasz rozkład. Miarowem uderzeniem skrzydeł zbliżała się do nas „avis rara"—czarny bocian. Niestety zawcześnie strzeliłem. Ptak na sztych ciągnący wydaje się zawsze bliższym. Dopiero, gdy po strzale skręci, odległość staje się widoczna.

30 sierpnia sam już, osierocony polowałem, otoczony tylko gronem pastuszków, którzy na odgłos pierwszych strzałów sciągali się, wiedzeni już to chęcią zysku, już to niekłamaną żyłką myśliwską. Padło przed mą lufą na strzałów 78—sztuk 38, a to: 33 kszyki i 5 krzyżówek. Trzy były do kszyków dublety. Bagienek było coraz mniej, więc i polowanie krócej trwało. Na ciągu, który był zawsze znikomy, nie chiałem pozostać. Gdy u brzegu Dniestru czekając na prom siedziałem na mym wózku, ponad rzeką bardzo wysoko przeciągała czapla. Lecz znalazła się prosto nad mą głową. Gruby śrut uderzył w nią, nieżywa w powietrzu skłębiła się w chmurze pierza i z groźnym szumem, niby bomba z aeroplanu rzucona lecąc w dół, tak silnie uderzyła o ziemię, że aż w niej się zaryła.

3-ego września znowu w samotnej drodze niosły mnie poczciwe moje szpaki swym niewielkim lecz wytrwałym kłusem. Otaczała mnie słodka, cicha pogoda. Sierpień już dobiegł kresu. Była to więc w krajobrazie naszych pól ta pora, gdy po upalnym zgiełku żniw na znużone łany spływa jakaś wielka senność; do niedawna ruchliwe złotą grzywą zbóż teraz pod dotknięciem pługa żałobę przywdziały, umilkł dzwonek sierpów, ustał nawet powolny turkot wozów plonem napiętrzonych. Teraz głucha cisza znamieniem przyrody, jesieni trwożliwe przeczucie. Lecz dusza myśliwego nie smutna o tej porze, zaiste! Schyłku lata, rozkoszy dla myśliwego! bo i jesień ze swymi skarbami bliska; ten las tam na widnokręgu niebawem pozłoci swe podwoje na przyjęcie czarownej słonki, a ten skrawek wiednących kartofli czarnymi ryjami nielitościwie spustoszony przypomina wymownie, że zbrojny z butnym szkodnikiem porachunek jest już niedaleki. Takie były moje myśli przerwane wreszcie widokiem kępy wierzb, ktora była furtką do błotnego raju. Chodziłem pracowicie czasu nie marnując ni naboi. 24 sztuk uwiesiłem u troków — kszyków 17 przy dwóch dubletach — oraz cztery przepiórki, chruściela i błotniaka zbożowego; zabitym zaś dużym bąkiem bardzo się interesowali moi mali towarzysze.

13 września w towarzystwie Józia spuszczałem się po malowniczej serpentynie białego gościńca w Niżniowską dolinę. Czas był chmurny, jesienny i zimny zacinał deszczyk, wspominaliśmy o znikomości pięknej przyrody i nienaturalnem nam się wydało, iż mamy dziś brodzić po wodzie; lecz zanim się polowanie zaczęło, już było ono znowu naturalnem, bo słońce niespodzianie slę przedarło, chmury zniknęły i ciepły, niepokalany błękit zajaśniał nad nami. Po raz ostatni ciepłe, pogodne tegoroczne lato uśmiechało się do nas. W szczególnie dobrym byłem dziś nastroju, najzuchwalsze udawały się strzały, najtrudniejsze padały kszyki; sześć z nich w dubletach, krogulec zlatujący z wierzby padł w odległości 77 kroków. 31 sztuk zabiłem na 56 strzałów, kszyków 29, a wspólnie z Józiem czaplę purpurową. On dzisiaj gorzej był usposobiony i nie podwoił mego rozkładu. Z kilkunastu błotek część była już sucha. Gdzie te hurmy kszyków, które temu miesiąc jak stada szpaków prawie wzlatywały z zielonych kobierców.

I jeszcze raz ujrzał nas rok 1921 na dolinie nadniestrzańskiej 21 września. Józio jak miesiąc temu jechał z Horodnicy, podjąłem go więc w Niżniowie. Czas był pogodny, lecz chłodny. Jesień rozpoczęła swe panowanie. 16 kszyków padło z mej Kaletzkówki w wyniku 32 strzałów. Józio gorsze miał spotkania i 10 spuścił kszyków. Z tego rozkładu poznać, że ilość kszyków bardzo zmalała. Niewątpliwie i nasze dubeltówki do tego się przyczyniły. Dał się odczuć ubytek 260 kszyków. Znacznie przed zachodem słońca byliśmy gotowi. Odjeżdżając pożegnaliśmy ten piękny zakątek. Tutaj, jak barwny film w kinematografie przyrody przesunęło się przed nami lato i wchłonęliśmy wrażenia całego myśliwskiego sezonu. Tu do cna nas przenikał lipcowy żar, tu gromami i nawałnicą napadł zagniewany sierpniowy dzień i tu wreszcie schłostał pierwszy jesienny deszcz. I skończyć muszę opis tego okresu myśliwskiego, który tak miły był i udany, że i na papierze niechętnie się z nim rozstaję. Niewiem, czy kiedy tak ładnie na błotach polować będziemy, dlatego wspomnienia gorącego lata 1921 zazdrośnie strzegę w pamięci.

Stefan Badeni.

Ubiegła zima a horoskopy łowieckie.

(*Dalszy ciąg*).

Akcja ratownicza może odnieść skutek przy równoczesnem współdziałaniu Rządu i całego zespołu myśliwych na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Współpomoc Rządu zaabsorbowanego ważnemi sprawami Kraju, będzie wydatną wtedy, jeżeli Związki, Towarzystwa i wogóle zrzeszenia myśliwskie zechcą stale czuwać nad potrzebami łowiectwa i bezustannie będą się domagać od tego Rządu aktualnych osobnych zarządzeń.

Tu należą zabiegi:

a) O zamknięcie na trzy do sześciu lat prawa polowania zarówno na zwierzynę płową jak i lotną w gminach, w których zwierzostan był dotychczas nikły, a tem samem potrzebuje dłuższego czasu bezwzględnej ochrony. Opinję w tym kierunku wydawać powinni Delegaci Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w odnośnych okręgach, na wniosek poszczególnych Towarzystw i wykonawców prawa polowania.

b) Wyjednanie specjalnego rozporządzenia, mocą którego każdy, kto zastrzeli na zamkniętym łowisku jelenia, kozła, zająca, kuropatwę lub bażanta, karany

będzie grzywną 300 złp. względnie aresztem do 6-ciu miesięcy.

c) Zaprowadzenie ścisłej kontroli nad handlem zwierzyną, szczególnie w obrębie zamkniętych gmin z tem, że sprzedawanie wszelkiej zwierzyny łownej bez formalnego świadectwa jej pochodzenia, podlega karze jak b).

d) Wyjednanie u dotyczących Władz polecenia, by organy policyjne przeprowadzały walkę z kłusownictwem.

e) wyjednanie u Władz prowadzenia ścisłej ewidencji wydania kart na prawo noszenia broni, oraz kart myśliwskich, najdalej idącego ograniczenia ich wydawania, którego odmówić należałoby osobom nieletnim i tym wszystkim, którzy nie potrafią wylegitymować się posiadanym łowiskiem, na którem mają prawo polowania, oraz którzy nie dają gwarancji stosowania racjonalnej hodowli zwierzyny, nie mają środków na zapewnienie podawania jej zimą zdrowej, wydatnej karmy, oraz na wykonywanie umiejętnej ochrony.

II. We własnym zakresie mogą i powinni wszyscy Myśliwi zastosować następujące wytyczne:

a) Odstrzał grubej zwierzyny płowej ograniczyć przez dwa do trzech lat na sztuki chorowite, upośledzone, niedorodne, unikając bezwzględnie strzelania osobników tęgich w dziczyźnie, silnych urodzeniem, bo to najlepszy materjał do zapewnienia dalszej rozmnoży. Plan odstrzału zredukować do minimum, rezerwując $^2/_3$ całego zwierzostanu na dalszą chwałę łowiectwa. Znieść bezwarunkowo prawo strzelania kozłów przy nagance, gdzie niema czasu na segregację sztuk, które powinny być odstrzelone, lecz gdzie strzela się do okazów nieraz najdorodniejszych, które stanowczo winny być respektowane, które jednak wygodnie nawinęły się pod lufę.

Strzelanie sarn śrótem winno być bezwzględnie rugowane i podlegać najsurowszym karom.

Zwierz czarny t. j. dzik powinien korzystać także z czasu ochrony — wprawdzie pominiętego ustawą formalną, ale nie ustawą moralno myśliwską. Ile dzik potrafi dobrego zdziałać dla lasu, ile zniszczy poczwarek, pędraków — tych utajonych przed okiem gospodarza, a strasznych szkodników lasowych, które zimują w miejscach dla oka człowieka niedostrzegalnych i żadną miarą nie dają mu się wyprzeć z obranego stanowiska — o tem wiedzą tylko leśnicy, którym dzik przychodzi z niezwykle korzystną akcją pomocniczą w tępieniu szkodliwych owadów. Dlatego dzika oszczędzać, nie strzelać do macior prośnych i przez 6 tygodni później, t. j. mniej więcej od marca do lipca.

b) Odstrzał zwierzyny drobnej tak płowej jak i lotnej, uregulować z góry obowiązującym programem na cały sezon. Ale ten plan odstrzału oprzeć na cyfrach i na ich przekroczenie nie zezwolić.

Gdzie zające, bażanty, kuropatwy widocznie słabo obsadzone w łowisku, tam zaniechać polowania całkiem na przeciąg dwóch lat. Gdzie zwierzostan miernie reprezentowany, tam ustalić odstrzał tylko co drugi rok, czyli zarządzić coroczną pauzę, a wszędzie, — zatem nawet na normalnie obsadzonych łowiskach — postawić zasadę, że dopóki stan zwierzyny liczbowo i wydatnie nie wzrośnie, strzela się zające tylko na przestrzeni $^3/_4$ kotła polnego względnie miotu, poczem sygnał trąbką i strzelanie w ostatniej ćwiartce jest niedopuszczalne — z wyjątkiem postrzałków. Bo tylko ruchliwe gachy, przeważające zawsze ilościowo pomiędzy nacją zajęczą, wyruszają napoczątku kotła i te mogą być ustrzelone, samice natomiast dosiadują twardo i oszczędzając je pod koniec kociołka, zachowujemy przy życiu, a tem samem zapewniamy rozmnóż. Z tego samego względu nie polować na pomyka, gdyż znowu przychodzimy do strzału przeważnie na dosiadujące kocice, podczas gdy gachy chronią miły żywot przedwczesnem wykipieniem z kopna. Niektóre kotły znane z korzystnego położenia, w których największa ilość szaraków wybiera ostoję, pozostawiać co roku na zmianę całkiem nienaruszone, więc ich nie opolowywać, a wtedy zapewniamy sobie niezawodnie rozmnóż na rok następny i na rozległą przestrzeń.

Co do ilości odstrzelić się mających zajęcy — dopuszczalny jest racjonalny odstrzał najwyżej $^2/_3$ całej obsady — o ile naturalny ubytek nie przekracza normalnych i zwykłych strat. Aby znać całą obsadę, trzeba poprostu liczyć, rachować żerujące rankami i wieczorami sztuki na podzielonych lokalnie oddziałach lasu, łąkach, niwach i t. p., ale nie ulegać przywidzeniom i nieuzasadnionym przypuszczeniem, że wszystkich nie widzimy i „prawdopodobnie musi ich być więcej, tylko się pokryły" — bo wówczas będziemy operowali błędną, fikcyjną rachubą i zamierzeń poprawy nie osiągniemy.

Odstrzał kuropatw przeprowadzić nie bezmyślnie, lecz znowu na podstawie rachunku. Wysłuchiwaniem zbadać ogólną ilość i szczegółową liczebność stad, z tych także $^2/_3$ przestrzelać, $^1/_3$ zostawić w całości bez uszczerbku choćby jednej sztuki, czyli zachować nienaruszone stada, które większą gromadą łatwiej dadzą sobie radę w walce z drapieżnikami i kataklizmami przyrody, niż przetrzebiona strzałami niewielka gromadka. Przy odstrzale oszczędzać bezwzględnię starki, tak kury jak i koguty, albowiem starsze kury niosą większą ilość jaj, są więcej doświadczone życiowo, odporniejsze na głód i zimno, koguty zaś bronią troskliwiej potomstwa i w jego wychowaniu więcej zdziałają, niż młode.

c) Zwalczać miarowo lisa, kunę, tchórza, pamiętając, że ta zwierzyna choć drapieżna, jest potrzebną w każdem łowisku jako organ sanitarny wśród zwierzyny użytecznej, a natomiat tępić bezwzględnie wałęsające się psy, koty, jastrzębie, sokoły, wrony nawet sroki, gdyż to są najzawziętsi wrogowie wszelakiej użytecznej drobnej zwierzyny, którzy przerzedzają silnie jej szeregi i przenoszą zarazki chorób, dalej tępić bez sumienia kłusownictwo i wnykarstwo, tę plagę racjonalnego myśliwstwa, przez wyznaczenie sowitych premji i nagród za każdego schwytanego, a ukaranego przez Władze przestępcę.

d) Karmić wydatnie, racjonalnie tak grubą jak drobną zwierzynę; tak w kniei jak w polu w czasie ostrej zimy.

Trudno mi ująć tę rzecz wyczerpująco z osobistego braku czasu, a miejsca na łamach pisma, z którego uprzejmości korzystam. Wywody obszerne i szczegółowe znajdzie Szanowny Czytelnik w mojej pracy „Łowiectwo", która w najbliższych tygodniach opuszcza prasę drukarską, na razie pragnę poruszyć najważniejsze i aktualne okoliczności.

Karmę zakładać w możliwie najliczniejszych miejscach, a nie koncentrować jej w kilku pobliskich może wygodnych do założenia punktach; nie przy uczęszczanych drogach i nie na otwartych miejscach, lecz w zaciszu i tam, gdzie zwierz czuje się bezpieczny, swobodny. Karmę podawać *jak najczęściej*, z początku w całkiem drobnych ilościach, ale już wtedy, kiedy jeszcze nie zachodzi tego konieczna potrzeba — by jednak zwierz przyzwyczaił się i dostrzegał, że w chwili krytycznej tu będzie miał pomoc.

Ma to wielkie znaczenie szczególnie przy karmieniu sarn, które wolą raczej przymierać głodem, niż wziąć nieznaną im dotychczas karmę, to też wczesne przyzwyczajenie ich oraz zapoznanie ze sztuczną karmą, działa niezwykle korzystnie. Założenie karmy dopiero w krytycznym momencie jest dla sarn niemal bezcelowe na dłuższy przeciąg czasu. Naodwrót karmić *jak najdłużej* aż do chwili kiedy zwierzyna gardzi już stanowczo karmą sztucznie zakładaną, bo najsilniejszy procent ubytku przypada pod sam koniec zimy, dalej przejście z paszy suchej na soczystą oziminę jest w skutkach najzgubniejsze.

Podawać można tylko paszę bezwzględnie zdrową, świeżą, niestęchłą, niespleśniałą i nierobaczywą, — nigdy nie dawać stale jednego i tego samego, bo im większa różnorodność karmy, tem większy pożytek.

Nigdy nie zakładać odrazu tyle, by karma dziś niezjedzona pozostawała na dzień następny; bo wtedy nasiąka wilgocią, włókna paszy suchej stają się niestrawne, leżą nieprzetrawione w żołądku i kiszkach i przychodzi obstrukcja, dla zwierza bardzo niebezpieczna — oprócz następstw innych, także niekorzystnych.

Paszy suchej nie tylko nie rzucać na ziemię, ale nawet nie dozwalać, by ewentualnie spadła, czy obsunięta z paśnika została przez zwierza skonsumowana, dlatego:

a) urządzić wszędzie zawczasu kryte paśniki, porozstawiać je zaraz po kniei, by zwierz się przyzwyczaił, by jasny biel ściemniał,

b) zbierać codziennie rano z ziemi i usuwać wyłuskaną paszę suchą,

c) koło paśników odgarnąć zawsze szeroko śnieg aż do gleby, zmieść i zgarnąć odchody zwierza i opodal *zakopać*.

(C. d. n.) *Inż. Wiesław Krawczyński.*

D Z I K.

(Dalszy ciąg).

IV.

Fornalka z gronem myśliwych pędziła wyciągniętym kłusem ku niemieckim kolonjom. Luśnie i łańcuchy pobrzękiwały na nierównej drodze, obręcze krzesały iskry z potrącanych kamieni, z pod kół zaś wyrywał się obłok kurzu i gonił za wozem swym kołtuniastym tułowiem, a wydłużony ogon kładł leniwie z powrotem na drodze.

Na słomie rzuconej w drabiny leżeli ludzie i psy. Miękko im było, ciepło i beztrosko. Psy wywiesiły długie różowe języki, ziajały prędko, niekiedy zadzierały ciekawie nosy wietrząc polne zapachy i zdradzały ochotę do porzucenia sztucznej lokomocji. Strzelcy zato rozkoszowali się w słońcu i słomie. Nie jeden wyciągnąwszy się obok strzelby chrapać już poczynał, lecz pułkownik budził ich zaraz ze słodkiej drzemki i perorował.

— Niech was kule biją — chcecie rozleniwiać ciało i ducha spaniem podczas białego dnia! To jest sybarytyzm niegodny człowieka czynu. Do góry uszy! W stronę wrogów jedziemy, bo przecie Niemiec gorszy dzika: jeden niszczy płody ziemi, a drugi wycygania lub wydziera nam samą ziemię, w czem Moskal bezmyślnie mu pomaga. Nasz chłop musi chleba w Ameryce, panie dzieju, szukać, kiedy Szwab na kolonjach się dorabia i szańce kultury niemieckiej na naszej ziemi sypie, aby nas potem takie bestje bismarkowskie syny, mogły łatwiej za gardło ścisnąć. Nie ich doczekanie! Da Bóg, że tego lisa z wilczymi kłami co pośrodku Europy leży, a łeb i pazury w Prusach nad naszym karkiem trzyma, jeszcze my na obróżkę weźniem! Są co prawda i między nimi katolicy i tacy ludzie, którzy już zrozumieli, że to wstyd do tej nacji samolubnej należyć. Opowiadał mi niedawno ksiądz z Maluszyna jak do wielkanocnej spowiedzi przyszedł taki kolonista, klęka przy konfesjonale i stosownie do nauk księdza chce najpierw śmiertelne grzechy z sumienia zwalić.

— Czem żeś Pana Boga obraził? — pyta ksiądz.

— Jestem Niemiec...

— Hm — taak! To bardzo brzydka rzecz, Bogu i ludziom niemiła — powiada ksiądz — trzeba mój bracie cnotliwem życiem tę wadę naprawiać. Mów dalej czemeś jeszcze Pana Boga obraził...

Pan Romuald przewidywał, że Niemcy z grzeczności zawiadomienia nie przysłali i pewnie zechcą coś zarobić na tem polowaniu. Tak się też stało Zaledwie skręcono na ich grunta, gdy przy drodze pokazała się gromada kolonistów z fajami w zębach. Młodzież jadąca na wozie miała chęć rozpędzić szwabów kolbami i dzika szukać jak swego, ale pułkownik sprzeciwił się wojowniczym zapałom. Zaczęło się więc paktowanie z wozu i targi. Niemcy żądali za prawo polowania trzydzieści beczek wywaru z gorzelni, pan Romuald dawał im tylko dziesięć. Od tej cyfry stopniowo jedna strona opuszczała po dwie beczki druga dodawała po jednej, targ się przeciągał — myśliwi niecierpliwili. Skończonoby, pewnie „krakowskim targiem“, gdyby nie Wrzosek, który zdyszany i spocony zjawił się niespodzianie przy wozie — szepnął coś panu Romualdowi i wgramolił na słomę do strzelców.

— Za dużo, panie dzieju, żądacie. Najlepiej będzie jak sami panowie zapolujecie na dzika w swoich kolonjach. Będziecie mieli szpek i szczecinę, kiszki do wypchania grochem, a może przy tem i dodatkowych któremu z was dzik nieco wytoczy — słowem zarobicie na tym geszefcie. Nam zaś interes ten się nie opłaci Rezygnujemy z polowania na waszych gruntach. No Walenty, rżnij z powrotem — jazda!

Fornal trzasnął z bata zawrócił szerokim kołem i wóz potoczył się wartko w stronę lubaradzkich obszarów.

— A to im wielmozny pan uter nosa wiórem! Faje powyjmowały tera z gębów i po łbach się drapio, bo to naród w myślunku ciężki, choć bezustanku medytuje jakby nasygo brata oświabić. Miałem i ja z nimi termedyje, złote góry musiałem im obiecać aby jeno do dworu konnego posłali. Trza ich było z mańki zażyć. Dzika zdążylim już wystraszyć z kolonji, i znów na dworskie przesed tam kędy widać te piaszczyste wzgórza.

— Opowiedzcie no Wrzosku jakim sposobem udało się wam wytropić dzika, co latem nie jest przecie tak rzeczą łatwą jak zimą po śniegu.

— Oj ciężko było, ciężko odnaleźć! Tem się jeno cłek pocieszał, że te dwadzieścia złotych od pana rewizora uczciwie zarobi, choć widzi mi się est to pan z obcygo kraju — zna polityke nie zna obycaju, bez to na polowaniu pokpił kszynę i dzika wypuścił. Jakeśmy tedy pośli tropami, z początku wiodło się jako tako, bo żyto było połamane kędy szed, ale jakeśma weszli w jarzyny, a potem w kartofle — tak i zdech pies! — nacina wszędy równa zakrywa ziemię jedną falą, kiejby jakie morze. Dopiro pomóg mi święty Antuni, któren wiadomo od zguby najlepszym jest patronem. Idę tedy i powtarzam modlitwę: Święty Antuni chwała Twoja! niech się znańdzie zguba moja! I zaraz pokrótce znalazła się baba co rwała zielsko i widziała go jak bez kartofle leciał, potem spotkalim kośników co kinicyznę tną i one go tyz widziały jak wrost na Miemców durchował, a że z bolączki niekiedy przysiadał, takeśma i do kolonji za nim doterli, gdzie jest mała łącka i gdzie na starym bajorku Miemce żółtej wirzby nasiały. Tam sobie we chłodzie utkwił.

Ostawiłem tedy polowego na warcie, a sam jak nie zacnę świabów manić, że im jak z nieba kapnie dobrze z tego dzika, aż konnygo posłali, a potem niedowiarki pośli gromadą niby zbóje przy drodze panów napadać, bez co mnie frybra porwała i dzikaśmy choć z biedą na dworskie wysiudali.

— Sprytny człek, niema co mówić! Nagroda was nie minie choć i im trzeba za posłańca zapłacić. To mię dziwi jednak, panie dzieju, żeście go nie próbowali dobić mając ze sobą strzelby.

— Bogać tam nie próbowalim. Niby postrzelony, we wnętrzu coś mu dolega bo przysiada, kszynę farbuje i prędko tak nie biegnie jak zdrowy, ale jeszcze on dość krzepki i bystry psiajucha, podejść się łatwo nie da.

Zjechano na bezdroża.

Były to odłogiem leżące przestrzenie po wykarczowanym lesie: góry żwiru, na których rosła tylko dziewanna, oraz dzikie nieurodzajne dolinki gdzie rosły mchy, jeżyny, krzaki cierni, lub młoda brzezinka miejscmi powypalana przez jakąś złą czy nieostrożną rękę.

Głucho było i smutno dokoła aż dziw brał; że się taki zakątek na ludnem Mazowszu znalazł.

Tu stary odyniec nękany bólem i prześladowany przez ludzi szukał zacisza gdzie mógłby w spokoju przetrwać cierpienie lub zakończyć swój ciężki żywot.

Do życia pierwotnego w puszczy był on stworzony, a przebył je wśród rozpaczliwych walk z człowiekiem i jego nieubłaganą cywilizacją, tym największym katem dzikiego stworzenia, które nie chce ulec niewoli i sztucznym ludzkim prawom. Siłą natury rządzony, pragnął zachować swój gatunek, a człowiek tępił go jak wroga. Zabijano mu towarzyszki życia — wymordowano potomstwo. Był już ostatnim z tutejszych Mohikanów leśnych. Mocniejszy stokroć od człowieka, miał broń straszną w swych kłach, a jednak pierwszy nie napada, gdy człowiek z bronią napadał go zawsze. Nosił w sobie ołów, a na sobie niezagojone rany. Uchodził śmierci niekiedy dzięki przypadkowi, częściej dzięki swej bystrej i przezornej myśli, której ludzie rozumem nazwać nie chcą i dzięki woli oraz pragnieniu życia, które mu wysubtelniło zmysły i dało potęgę fizyczną.

Przypadek nieraz go ratował, przypadek dziś wprowadził pod kulę, która mu ból niezmierny we wnętrznościach sprawiała. Wygiął pałąkowato grzbiet, pienił ryjem, deptał racicami ziemię — położył się wreszcie pod krzakiem gniotąc białe kwiecie jeżyn.

Tu napadła go rozpędzona psiarnia. Wiatr był od niego, więc psów nie poczuł, a usłyszał dopiero wtedy gdy były tuż. Nie myślał uciekać. Podniósł się powoli, dotarł tyłem do krzaka, nastroszył szczecinę na grzbiecie i stanął w groźnej postawie kłapiąc zębami. Psy z wrzaskiem rzuciły się ku niemu. Gdyby zadem nie zanurzył się w krzaku pewnieby chwyciły go odrazu za szynki, kolczasty krzew bronił im dostępu, docierały więc z boków, lecz odskakiwały zaraz gdy zwracał ku nim straszny łeb z krwawemi oczyma i zda się czekał okazji by szarżę do nich przypuścić.

Psy zaciekłem ujadaniem podniecały swój gniew jak ludzie gdy zaczynają wymyślać, a bierna pozycja dzika rozzuchwalała je w natarciu.

Pierwszy zdobył się na odwagę Burek, pies silny i zuchwały mający we krwi wilczy animusz swych dzikich pradziadów. Świnie szczute na ogrodach chwytał zwykle za ucho i tarmosił aż kawał tłustej krwawej skóry oderwał zębami. Wypróbowaną tę metodę zapragnął teraz zastosować, i w tym momencie, gdy właśnie dzik łeb swój w drugą stronę ku innemu psu obracał, Burek błyskawicznie chwycił odyńca za ucho i zawisł na nim. Dzik skoczył naprzód, zakręcił się na polance, trzepnął psem jak ścierką o ziemię, przejechał po nim kłem i wyrzucił na parę metrów w górę. Burek upadł bez życia. Lecz psy rozżarte do wściekłości już siedziały na wrogu: jeden chwycił go ztyłu za cynadry, drugi tarmosił szynkę, trzeci wpił zęby w grzbiet...

Dzik, stary mistrz w podobych zawodach, znów się wykręcił, skoczył i zręcznie otrząsnął z psów. Teraz miał do nich z kolei atak przypuścić, gdy w tem z poza krzaka, z bronią do strzału gotową wybiegł człowiek: wróg jego największy, choć taki

wątły i marny jak badyl rośliny, lecz straszny swą bronią wydartą piekłom.

Dzik zda się o psach i bólu zapomniał i łeb obrócił do strzelca.

W ostatniej chwili władania rozumną wolą pewnie zapragnął szarżować, bo już huknął strzał, już okropne uderzenie zrobiło wyłom w czaszce do jego mózgu, już mu krew oko zalała, a on jeszcze resztką swych potężnych sił, gnany rozpacznym pragnieniem zemsty niespełnionej runął na wroga jak waląca się baszta, obalił go i już miał śmiertelny cios zadać kłem, gdy kula innego człowieka raziła go bezwładem woli i czucia.

Zwalił się ciężko na leżącego prześladowcę z krwawą pianą i bulgotaniem konania w gardzieli.

. . . .

. . . .

— No i co Wrzosku żyjocie jeszcze?

— Toć zyję, ale me psiawiara zatracona tak przywalił że ledwo tchnę.

Pan Romuald wyciągał z trudem Wrzoska z pod stygnących zwłok dzika.

(d. c. n.) *Jan Szczepkowski.*

ERRATA.

W n-rze 8 str. 14 wiersz 39 powinno być: „spieszył zdyszany ogrodnik“.

WOLNA TRYBUNA.

Patrzmy trzeźwiej.

W ostatnich numerach „Przeglądu Myśliwskiego“ czytaliśmy o sprawie wysłania strzelców polskich na Olimpjadę, o reprezentacyjnych polowaniach w Białowieży, o konieczności wobec tego powiększenia personelu zarządu Puszczy, o łowczych państwowych, objeżdżających konno rewiry i o innych podobnych projektach.

Przeczytawszy to wszystko ma się wrażenie, że sanacja Skarbu została już przeprowadzona i opływamy we wszystkie dostatki.

Natomiast znaną jest rzeczą, że większość obywateli polskich chciałaby żyć nad stan. Reprezentacja nazewnątrz—to nasza słabość. Lubimy szumne frazesy i nie umiemy poważnie patrzeć na życie.

Jeszcze wczoraj staliśmy nad przepaścią bankructwa. Kuracja Ministra Grabskiego ledwo się zaczęła, powinniśmy oszczędzać, oszczędzać i jeszcze raz oszczędzać, a tymczasem mamy takie pretensje, na jakie mogą sobie pozwolić narody, posiadające skarb zasobny.

Nie dziwię się, że gnębiona przez kłusowników zwierzyna za pośrednictwem Redaktora „Przeglądu Myśliwskiego“ podnosi alarm, ale mieszkając od lat pięciu na Kresach Wschodnich, nie dziwię się również odpowiedzi Ministra Rolnictwa — „najpierw las“. W rzeczy samej, jeżeli sanacja tutejszej gospodarki leśnej nie wyjdzie poza obręb gabinetowych dyskusyj — z pewnością stracimy największe nasze bogactwo na Wschodzie, a ze zwierzyny zostanie tylko ta, co się hoduje w polu.

Ustawa łowiecka jest potrzebna, ale i bez ustawy jest dużo do zrobienia. Mówi się o tępieniu przez kłusowników zwierzyny, ale my, tu na Kresach, bylişmy radzi, żeby nareszcie wytępiono kłusowników ludzkich, czyli bandytów, którzy od kilku lat w biały dzień całemi bandami rabują dwory, napadają na pociągi i miejscowa administracja nie może dotąd im dać rady. Chłopi, szczególniej w pasie pogranicznym, posiadają poukrywaną broń, w którą zaopatrują się bandyci i kłusownicy.

Kłusowników zwierzyny nie trzeba szukać daleko — ale należy wreszcie odebrać rządowym gajowym karabiny wojskowe (które prawie każdy z nich ma), fuzje myśliwskie i psy, dając im wzamian, gdy na to pozwolą środki — rewolwery.

Twierdzenie, że długa broń jest potrzebna gajowym dla obrony i tępienia drapieżników, jest twierdzeniem teoretycznem. Gajowy i miejscowy chłop kłusownik za dobrze się znają, aby strzelać jeden do drugiego—prędzej będą razem polować. O strzelaniu rządowych gajowych do kotów, jastrzębi i innych podobnych szkodników niema mowy, gdyż gajowi strzelają tylko tę zwierzynę, która daje zysk w postaci mięsa czy futra.

Przeprowadzić pozatem warto porządek wśród administracji Lasów Państwowych. Jak ci panowie postępują, oto konkretny przykład.

Brzeskiemu Kółku Myśliwskiemu leśnictwo w Dubicy robiło szykany przy urządzeniu polowań na dzierżawionym terenie z powodu późnego zgłoszenia o dniu polowania, a oto na tym samym terenie leśniczy z Faustynowa, urządza z miejsca polowanie w lutym r. b. dla zaproszonych gości. Goście ci nie wiedzieli zapewne, że polują na cudzym terenie, ale co powie Zarząd Lasów w Białowieży na takie postępowanie swego przedstawiciela? Jeżeli panowie leśniczy urządzają zbiorowe polowania na wydzierżawionych terenach, to czyż można wątpić że ich gajowi w pojedynkę i oni sami nie polują tam stale?

Pan Szeliga - Łańcucki proponuje aby stworzyć urząd łowczych-kontrolerów i dać im konie,—chyba poto, aby stworzyć oprócz pierwszych nowe kadry konnych kłusowników.

Reasumując powyższe nie ma co myśleć o ustawie łowieckiej i innych pobożnych projektach, gdyż są bardziej pilne i ważne sprawy, a mianowicie:

1) ochrona lasów na Kresach przed rabunkową gospodarką,

2) tępienie bandytyzmu;

3) odebranie od chłopów ukrytej broni,

4) odebranie od gajowych karabinów wojskowych i wogóle strzelb oraz psów,

5) ukrócenie polowania samopas z karabinami,

6) skierowanie wysiłków policji więcej ku tępieniu kłusowników, zaś przelanie większej kompetencji na kółka myśliwskie w zakres wydawania opinji komu może być wydane pozwolenie na broń i karta łowiecka.

W końcu muszę zaznaczyć, że koniecznem jest aby sami myśliwi więcej dbali o etykę łowiecką. Któż nie pamięta głośnego faktu zabicia kozłów w miesiącu lutym r. ub. przez członków znanego Tow. Myśliwskiego z p. prezesem na czele? Wówczas gdy przepisy, wydane przez Województwo Poleskie, wzbraniały polowania na kozły, owi myśliwi

mieli wydane specjalne pozwolenia przez Ministerstwo Rolnictwa. Wojewoda Poleski skierował tę sprawę do sądu, nie wiadomo jednak jak się skończyła. Swoją drogą dziwną wydaje mi się taka etyka łowiecka, która pozwala (mając nawet ministerjalne pozwolenie) łamać przepisy wojewódzkie.

Jeżeli tak postępują pionierzy łowiectwa, to cóż mówić o szarej braci myśliwskiej? A Ministerstwo Rolnictwa czy miało prawo wydawać takie pozwolenie? Fakt ten oraz notatka zeszłoroczna „Przeglądu Myśliwskiego", że b. Minister Gościcki polował na kuropatwy w czasie zakazanym, daje podstawę do umieszczenia takiego artykułu do ustawy łowieckiej: myśliwi dzielą się na dwie klasy: do drugiej klasy należą myśliwi, których obowiązują karty łowieckie, a do pierwszej—ci, których karty łowieckie nie obowiązują (naprz. dostojnicy i ich znajomi).

A teraz o wysłaniu strzelców na Olimpjadę. Z wyników narciarskich i łyżwiarskich w Chamonix widać, że nasze Koła sportowe nie zdają sobie sprawy z poziomu zawodów Olimpijskich. Mamy zamiar posłać swych reprezentantów na wszystkie niemal rodzaje zawodów. Czy poto, aby jak w Chamonix zdobyć pierwsze miejsce, ale licząc od końca?

Oto co mi opowiadał jeden doskonały strzelec o warunkach strzału do jelenia: trzeba trafić kulą 10 razy z rzędu w odległości 100 mtr. Ów myśliwy widział takich, co trafiali, ale mówi, że to są nie ludzie, a maszyny. Sam, chociaż strzela z Winchesteru nietylko do zajęcy, ale i do ptactwa wlot, nie czuje się na siłach jechać na Olimpjadę.

Sądziłbym wogóle, że ci strzelcy, co nie byli obecni na poprzednich Olimpjadach w roli widzów lepiejby zrobili, aby w Paryżu Polski nie reprezentowali.

Uważam, że Komitet Igrzysk Olimpijskich powinien wystawić lepiej tylko jedną drużynę, któraby zajęła miejsce bodaj w pierwszym dziesiątku kolejnym, niż wysyłać wielu zawodników i w rezultacie ponieść fiasko.

A przecież tu chodzi o honor całego narodu. P. prof. Wacak pisze, że jeżeli nie wyszlemy strzelców do Paryża, to zrównamy się z Buszmenami i Hotentotami.

Ze swej strony sądzę, że lepiej zostać jak Buszmen w domu, niż jechać na Olimpjadę i zająć tam miejsce Buszmena.

A w końcu o polowaniach reprezentacyjnych. Może się mylę, ale sądzę, że jest to dzisiaj wogóle przeżytek *). Dla kogo mamy je urządzać? Dla naszych sąsiadów, a więc Prezydenta Rzeszy, czy dla Prezesa Rad Sowieckich? Dla Prezydenta Francji wystarczają pono króliki w Rambouillet. Sądzę, że dla dzisiejszych władców nasze dziki okazałyby się stanowczo za dzikie.

Przyjęliśmy Focha zdaje się niezgorzej — uważam, że możemy się obejść bez reprezentacyjnych łowów w Białowieży i dla innych potentatów. Lepiej byśmy zrobili, używając kredyty, przeznaczone na reprezentacyjne łowy, na inne cele, naprzykład na budowę portu w Gdyni. Nasz prestige państwowy napewnoby na tem nic nie stracił, ale tylko zyskał.

T. Fedorowicz.

*) Stanowczo nie godzimy się z powyższym twierdzeniem Sz. autora. Reprezentacyjne polowanie dla przedstawicieli cudzoziemskich państw posiadają niesłychane znaczenie propagandystyczne, zbliżając towarzyszy-myśliwych i zacieśniając stosunki przyjazne. Wiedzieli o tem królowie polscy, którzy przewagę spraw państwowych największej wagi rozstrzygali podczas łowów. (*Przypisek Redakcji*).

RYBOŁÓWSTWO.

Państwowe wody rybne.

Wody państwowe możemy podzielić na bieżące, jeziora i stawy. Wody bieżące, t. j. rzeki wraz z ich dopływami, znajdują się w administracji Ministerstwa Robót Publicznych.

Jeziora, t. j. większe naturalne zbiorniki wody i stawy, t. j. sztuczne. względnie naturalne mniejsze, zależnie od terenu, znajdują się w administracji bądź to Dyrekcji Lasów Państwowych, bądź Wydziału Dóbr Państwowych. Niewielką tylko stosunkowo ilością zarządza Ministerstwo Reform Rolnych.

O ilości jezior i stawów i ich obszarze podać możemy zaledwie przybliżone liczby, opierając się na materjałach, zebranych przez Departament Leśnictwa i Wydział Majątków Państwowych.

W zarządzie Departamentu Leśnictwa, na terenie województw: Pomorskiego i Poznańskiego w Dyrekcjach lasów: Gdańskiej, Toruńskiej, Bydgoskiej i Poznańskiej znajduje się 392 jeziora o przestrzeni 16.580,8.413 ha i 34 dzikie stawy o przestrzeni985.680 ha.

Na terenie b. Kongresówki posiadamy około 1726 ha stawów i 12,678 ha obszaru jezior z których największa ilość przypada na ziemię Suwalską.

W okręgu Wileńskim znajduje się 12.447 ha jezior, a w Woj. Nowogródzkiem – 8.459 ha.

Wogóle danych co do ilości jezior i stawów poszczególnych województw, z wyjątkiem Białostockiego zebrany materjał nie zawiera dużo. To samo możemy powiedzieć o województwach kresowych i okręgu Wileńskim, co do których posiadamy tylko ogólną przestrzeń.

Zebrany materjał pozwolił nam ująć go w następujące zestawienie:

Województwo.	Ilość jezior	Ich obszar w ha	Ilość stawów	Ich obszar w ha
Była dzielnica pruska obejmuje Województwa Pomorskie i Poznańskie .	392	16580,8413	34	985,68
B. Kongresówka—Wojew. Lubelskie, Warszawskie, Łódzkie i Białostockie	—	12678	—	1726
Okręg Wileński	—	12447,72	—	—
Wojew. Poleskie . . .	14	701	—	—
„ Nowogródzkie .	31	8459,5	—	—
„ Wołyńskie . . .	—	971	—	—
„ Śląskie — Komora Cieszyńska . . .	—	—	12	1171,76
Wojew. Śląskie — Dobra Żywieckie	—	—	6	1128 36
	437	51838,0613	52	5010,68

Z przytoczonych danych o rybołówstwie śródlądowem oraz cyfr wskazanych w tabeli, widać, że roczny dochód z jezior państwowych (od 50.000 do 51.830 ha), licząc roczny czynsz, jako wartość 3 klgr. szczupaka z 1 ha wynosi od 187.500 do 192.636 franków.

Dochód ze stawów państwowych może być obliczony w następujący sposób:

1) Stawy w b. Kongresówce, jako gospodarstwa karpiowe, o przestrzeni 1726 ha dają przeciętny z 1 ha o wartości 34 klg. karpia czyli 42,5 franków.

2) Stawy dzikie w b. Dzielnicy Pruskiej o przestrzeni 985,6 ha dają przeciętny dochód z 1 ha o wartości 3 klg. szczupaka, czyli 3,75 franków.

3) Stawy Komory Cieszyńskiej o przestrzeni 1171 ha i Dóbr Żywieckich o przestrzeni 1128 ha, według sprawozdania z ostatniej inspekcji w r. 1923, powinny dać dochód 73130 franków.

W ten sposób ogólny dochód roczny z jezior i stawów państwowych winien wynosić:

Za stawy z b. kongresówki	73355,00 fr.
„ „ Wojew. Pomorsk. i Poznań.	3693,75 „
„ „ Komory Cieszyńskiej i Dóbr Żywieckich . .	73130,00 „
Za jeziora Państwowe	192635,00 „
Ogółem . .	342813,75 fr.

Odnośnie do jezior państwowych na Suwalszczyźnie, według pracy Eglita, posiadamy więcej szczegółowy materjał, który daje możność podać pewne cyfry, charakteryzujące znaczenie fiskalne tych wodnych terenów za czasów rosyjskich. W stosunku do prawa własności jezior należy zauważyć, że największym właścicielem obszaru wodnego w tej połaci kraju jest Skarb Państwa, do którego należy 170 jezior o przestrzeni 12145 ha, czyli 45,7% całego obszaru wodnego b. gubernji Suwalskiej i Łomżyńskiej. Największy dochód przynosiło 15 jezior o przestrzeni 8022 ha. Czynsz z tych jezior w roku 1910 wynosił 27560 fr., czyli 68,24% ogólnego dochodu ze wszystkich państwowych wód tej dzielnicy. Pozostałe 155 jezior państwowych przynosiły zaledwie 12827 fr. Przeciętny obszar jednego z 15 jezior wynosił 532 ha, jednego z pozostałych 155—26 ha.

Dochód z jednego hektara lustra wody wynosił 3,95 fr. W czasie od 1910—do 1914 r. dochodowość jezior zwiększyła się, a w roku 1914 była większą o 24,8%. Zestawiając dochodowość jezior sąsiednich, pruskich, należy zauważyć, że dochodowość jezior pruskich do roku 1908 była niższą. Od chwili, kiedy w Prusach warunki dzierżawy zostały zmienione, czynsz dzierżawny zwiększył się prawie podwójnie i przewyższał czzynsz jezior na Suwalzczyźnie. Z zestawienia dochodowości Państwowych jezior Suwalskich i wschodnich Prus przytaczamy następującą tabelę:

Od roku do roku	przeciętny dochód we frankach	przeciętny dochód z 1 ha we frankach	więcej lub mniej odnośnie Pr. Wsch.	przeciętny doch. we fr. z 1 ha	przeciętny doch. we frankach	od roku do roku
Suwalszczyzna			Prusy Wschodnie			
1889 1899	30.875,75	2,55	0,18	2,37	122 825	1864 1884
1899 1910	38.022,5	3,18	0,76	2,58	137.462	1884 1908
1910	48.230	3,99	0,31	4,32	227.500	1908

Zofja Oraczewska.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Starogardzki Klub Myśliwski. Projekt ustawy zamieszczony jest w „Venatorze". Prosimy o przesłanie nam uwag dotyczących zmian ewentualnych.

WP. Rud. Podgórskiemu w Czeszewie Odpowiedź na swój list z dnia 20 z. m. otrzyma WPan wprost od przedstawicieli wspomnianej firmy.

Kto z P. Myśliwych przysporzy nam 5 nowych prenumeratorów, ten otrzymywać będzie „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" przez rok bezpłatnie.

Od Administracji.

Administracja uprzejmie prosi wszystkich, nadsyłających ogłoszenia, o dokładne wskazywanie rozmiarów, ilokrotności ogłoszeń oraz równoczesne nadsyłanie należności p/g cen wzkazanych w każdym № pisma.

Administracja zawiadamia że № 1 i 2 z rb. jest zupełnie wyczerpany, zgłoszenia na te №№ nie mogą być uskutecznione,

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 w poniedziałki w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed.—**1 miljon** mk. Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu)—**5 miljonów** mk.; Konto czekowe w P.K.O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**40 złp.;** 1/2 str.—**25 złp.;** 1/4 str. **15 złp.;** 1/8 str.—**8 złp.;** 1/16 **5 złp.**